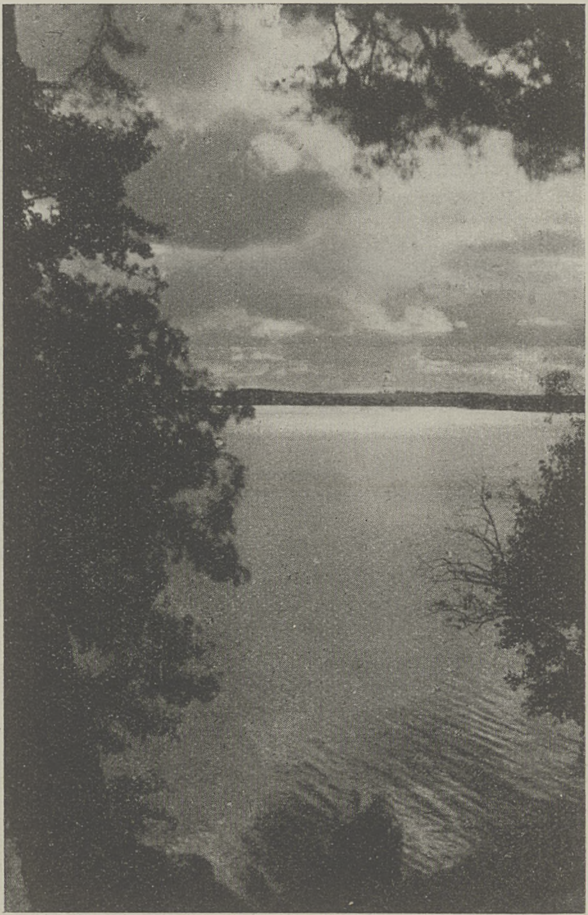
Cena tego zeszytu 50 gr.

ROK XIII. PAŹDZIERNIK 1932. Nr. 8.

ORLI LOT

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY
ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH MŁODZIEŻY
POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO



JEZIORO OSUSZYNO POD KOŚCIERZYNĄ.

MARJA ŻURKÓWNA (Państw. Seminarjum w Sosnowcu).

Wspomnienia i wrażenia ze Zjazdu
Krajoznawczego w Warszawie.

Jakże doniosłe zadanie spełnia Krajoznawstwo Polskie! Zrzesza młodych, pełnych życia, energji, optymizmu i wiary w swe siły Polaków, a konsolidując ich w Koła Krajoznawcze, przejmuje, zapala ideą poznania swego kraju ojczystego. Podobna działalność posiada głębokie uzasadnienie psychologiczne, bo mówią słowa pieśni krajoznawczej: „Wycieczki, zwiedzanie, oto jest nasz cel, Ojczyzny poznanie od Karpat, po Hel“! wszakże poznanie czegoś, wgłębienie się w jego istotę pozwala dopiero ukochanie miłością prawdziwą, jaką Polak swą Ojczyznę kochać powinien. „Wycieczki, zwiedzanie, oto jest nasz cel, Ojczyzny poznanie od Karpat, po Hel“! — Krajoznawstwo Polskie niech więc żyje, niech nadal pracuje na niwie społecznej i rzuca dobre ziarno miłości i poświęcenia w serca młodzieży, która jest przyszłością narodu! Niech żyje i trwa, bo dzięki jemu, młodzież poznaje dokładnie Polskę, jej łzy i cierpienia, jej całą tragedję narodową, a przez to gruntuje i utwierdza uczucia patrjotyczne, skierowuje swe myśli i cele ku dobru Państwa i Narodu. — Powiedzenie to nie jest martwym frazesem, ale prawdą, którą wypowiedziały nasze uczucia pod wpływem pobytu na Zjeździe.

*
* *

Warszawa — stolica i serce Polski.

Już w pierwszym dniu Zjazdu powaga stolicy i uroczystości krajoznawcze pozostawiły niezatarte przeżycia i wrażenia. Zebraliśmy się wszyscy na Bielanach, gdzie cała młódź krajoznawcza, reprezentując wszystkie ziemie przez swych przedstawicieli, z chwalebną dumą manifestowała strojami narodowemi swojej dzielnicy przynależność do jednej wielkiej Macierzy. Cały orszak różnobarwny, liczny i piękny ruszył do kościoła OO. Marjanów, żeby przed Bogiem i przy grobie Staszica ślubować wierność dla idei krajoznawstwa. I szła tak cała Polska ze swoją ziemią krakowską i ludem wesołym, skorym do pieśni i radości, szła, prowadząc zadumanego Poleszuka i gibkiego Podhalanina, który przyszedł witać największego gazdę w Polsce Pana Prezydenta Ignacego Mościckiego. — Wiodła tu Polska inne jeszcze swe dzieci, Łowiczan, Kaszubów, Ślązaków. A kiedy powitani przez miejscowego czcigodnego prefekta szczerem, za serce chwytającem w swej prostocie słowem: „witajcie“ odczuliśmy, że jesteśmy u siebie i przez swoich witani. Poszliśmy do grobu Staszica, pierwszego krajoznawcy polskiego, aby mu przypomnieć tę ziemię, którą tak ukochał, aby mu liczebnie dowieść, że myśl jego wielką zrozumieliśmy i dalej kontynuować będziemy. Cisza tu panuje i coś z zapachu kadzideł, a na ramionach skromnego białego krzyżyka zda się, że smutna Eloe wsparła swą anielską głowę i tą ciszą opowiada o wolnej Polsce i wsi polskiej, kołysząc do snu wiecznego duszę wielkiego Obywatela. W tak nastrojowej atmosferze serca nasze zrozumiały tę niemą mowę, odczuły co im czynić należy, więc myślą wybiegły w minione dzieje i u stóp cichego grobu przeżyły chwilę czci dla wielkiej idei i jej twórcy.

A potem płyta Nieznanego Żołnierza i złożenie wieńca. Długa chwila kontemplacyjnego milczenia — hołd symbolowi bohaterskich zmagań o wolność, hołd i podzięka za wolną Polskę, za chwałę, jaką przyniósł narodowi polskiemu. Jakże to pięknie, że naród czci pamięć wielkich czynów, bo jeżeli czci, to i pamięta, a pamiętając wykazuje, że ciągle niemi żyje i do nich dąży. Tak więc złożywszy cześć umarłym, cała procesja krajoznawcza podążyła na zamek, by złożyć hołd pierwszemu obywatelowi Polski, Panu Prezydentowi Ignacemu Mościckiemu. Na dziedzińcu zamkowym oczekiwaliśmy tego wielkiego dostojnika... Przyszliśmy go zobaczyć, przyszliśmy liczebnie pokazać jak jesteśmy silni i zorganizowani, przyszliśmy go przekonać o tem, że stanowimy tę część społeczeństwa, mającego na celu poznanie kraju, którego on jest głową i duszą.

W oczekiwaniu na ukazanie się dostojnego oblicza Pana Prezydenta, zaśpiewały góralskie skrzypki melodję typową, w której drgało umiłowanie niebotycznych „Tater" i tęsknota do nagich turni. Otulone welonem sinych chmur, a zdziwione cichą, nieśmiałą a dziwnie chwytającą za serce piosenką Poleszuków, umilkły, by wczuć się i zrozumieć tę skromną, a tak plastycznie ilustrującą trudne życie w lasach pińskich — melodję. Ale i Łowiczanie, lub wesoły i krzepki, nie pozostali wtyle, lecz zagrali obereczka „od ucha", w którym zdradzali przyzwyczajenie jeszcze od czasów dawnych swych duchownych panów, do dobrobytu i radości życia. Tak się więc cieszył, żalił i znowu entuzjazmował ten naród krajoznawczy i drogą z serca płynącej „gry" opowiadał o swem życiu temu, który wszystko z siebie daje dla dobra ogółu.

I nagle cisza..., bo oto na dziedzińcu ukazała się dostojna sylwetka Pana Prezydenta. Szedł do nas krokiem poważnym a tak, jak się idzie do osób drogich w sercu, jak dobry ojciec idzie zobaczyć swoje dawno niewidziane dzieci, obejmując dobrotliwemi oczyma całą rodzinę krajoznawczą. I witał nas swoim uśmiechem, któryby można porównać do uśmiechu dziecięcia, pełnem prostoty, słodyczy i dobroci. A nam, które tyle słyszałyśmy o chwale królów naszych dawnych, dziwnie bliski stał się ten dostojny a tak piękny w swej duchowej prostocie człowiek, w prostocie, która aureolą dobra i szlachetności spowiła twarz Pana Prezydenta. Na głowie miast korony — siwizną przyprószone włosy, na kształt srebrnego diademu zasług, pracy i doświadczenia okoliły wyniosłe czoło pierwszego obywatela Polski. Porwał nas za sobą, zawojował tą cichą mową szlachetnego ducha, że serca nasze wezbrały radością życia, miłością do wolnej Ojczyzny i jej głowy — dla którejby każdy z nas i życie poświęcić gotów, byle widzieć ciągle te oczy po ojcowsku patrzące i uśmiech dobroci i wyrozumiałości. Uczucia nasze miały wyraz w głośnym okrzyku na cześć Pana Prezydenta, wyrażając ogólnie pożądane życzenie: „Niech żyje Pan Prezydent Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej"! — niech nam żyje wołały usta a dusze modliły się do Boga: „Ojczyznę wolną zachowaj nam Panie i pobłogosław pracę i wysiłki Ojca naszego państwa". Doznawszy tak wielkich wzruszeń i przeżyć patrjotycznych, poszliśmy zwartą masą by złożyć w hołdzie naszą głęboką wdzięczność i uznanie Józefowi Piłsudskiemu, którego żelazna wola i ofiara dały w rezultacie wolną Polskę. Nie da-

nem nam było budować naszego ducha narodowego widzeniem Budowniczego Polski, ale zato ujrzałyśmy dzieło jego ducha, bo oto wprowadzono nas do Belwederu, gdzie kilka pokoi zajętych jest na przechowywanie prezentów, odznaczeń i nominacyj, które napłynęły i napływają od wdzięcznego Narodu, wypełniając złotemi zgłoskami księgi epopei Wodza.

I patrzą tu na nas oczyma przeszłości z czasów walk i zmagań z przemocą pamiątki w formie rzeźb, płaskorzeźb i obrazów darowanych Mu od wiernych towarzyszów broni, oraz nowsze podarunki wdzięcznego społeczeństwa. Między innemi widzimy tu arcydzieło malarskiej sztuki: „Piłsudski w Nowogródku" — na tle gwiaździstej nocy, męstwo i wola w jego wzroku i sny o wolności. Wszystko tu zadziwia nadzwyczajnym artyzmem. Wśród tych dzieł sztuki, jak róża pomiędzy kwiatami widnieje skromny, oszklony, na honorowem miejscu powieszony list małej córeczki Wandzi, przesłany na dzień imienin do Tatuśka swojego, zapewne gdzieś w okopach przebywającego. Treść rozrzewnia nas i razem z Wandzią „prosimy Cię Tatuśku żebyś tak dużo nie pracował, bo ja Cię bardzo, bardzo kocham", a wzruszenie potęguje zewnętrzny wygląd i charakter pisma, który pozwala sądzić, że Maleństwo całą duszę wkładało, by móc przelać na papier swoje szczere życzenia.

Wielkim musi być ten człowiek, któremu już za życia wystawia Naród tak okazały i dostojny pomnik zasług i czynu. Dlatego też zwiedzenie Belwederu, to jakby jedna pieśń wyśpiewana na cześć Wodza Narodu, człowieka, który w dziejach historji naszej zajmie stanowisko Budowniczego i wzoru prawdziwego obywatela.

Potem wizyta u Pana Prezydenta na zamku.

W dużych, przepysznie umeblowanych komnatach, poważne twarze wielkich królów naszych przemawiały do nas ciszą i zaglądając do dusz, kazały pamiętać o dawnej chwale Polski, którą my podwyższyć i uświetnić mamy. Zamek w poważnej zadumie pogrążony, to jakby księga złota Polski, epopea chwały, bogactwa i wielkości. I stare mury zamku, jak poważna matrona, opowiadają swoje wielkie dzieje i jak owa staruszka o zaczarowanej królewnie, snują tajemniczą, barwną, pełną wymownych niedomówień gawędę, przedstawiając oczom portrety wodzów naszych wielkich, królów szczęśliwych i nieszczęśliwych. Zamek wwiódł nasze dusze w odległe wieki Polski wielkiej, a ukazując jej chwałę, nakazywał nam Polakom starać się o te cnoty, jakie mieli przodkowie nasi: „Wiarę, nadzieję i miłość". Zamek niezawsze opowiada, on czasem milczy. I przed nami zamilkł, gdy przyszła pora opowiadać o królu Stanisławie Poniatowskim i jego panowaniu. Pełną bólu ciszą wskazał małą komnatę, gdzie dokonano podpisu nieszczęsnego rozbioru Polski. A potem zmartwiał w tym bólu, na wspomnienie niewoli. Zamku, siedzibo królów, porzuć cierpienia, oto dzisiaj tu wesoło, gwarno i radośnie! Czy to odgłos uczty królewskiej, czy ukaże się król otoczony świetnym swoim dworem a przed nim poddani w kornym ukłonie? O, ukazał się król serc naszych polskich, ukazał się Pan Prezydent, by przyjmować uczestników Zjazdu Kół Krajoznawczych, młodzież całej naszej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Ocknij się więc siedzibo chwały i mądrości narodowej, nie smuć się stary zamku, bo w swych ramionach obejmujesz młodzież, która zrozumiała i odczuła twoją przeszłość,

a ideałem jej jak wielkiego filarety Mickiewicza będzie: „Ojczyzna, Nauka, Cnota“ — ideały, które zrealizowane, otoczą cię nowym nimbem chwały i nieśmiertelności.

Brałyśmy również udział w dożynkach krajoznawczych, na wieczornicy, gdzie Koła Krajoznawcze produkowały się przygotowanemi obrazkami z życia wiejskiego. Widzieliśmy tu odtańczonego krakowiaka oryginalnie i z temperamentem właściwym wesołym i rzeźkim Krakowiakom. Inscenizowano też różne zwyczaje, obchodzone w 4 porach roku i połączone z niemi wróżby ludu wiejskiego na przyszły urodzaj. Niezwykłe wrażenie robił piękny obrazek nocy świętojańskiej, gdzie czuło się żar nocy letniej, jej piękno i poezję. Na tym tle wystąpiły urodziwe dziewoje, które w tęsknem marzeniu wróżyły sobie z wianuszków przyszłe szczęście.

Uroczystość tę prowadził zacny p. Andrzej Cierniak, jako starosta i jej prowodyr, który z całem odczuciem psychiki wiejskiego ludu interpretował i łączył produkcje Kół, by potem cały wieniec krajoznawczej pracy złożyć w godne ręce marszałka senatu i prezesa Pol. Tow. Krajozn. — Władysława Raczkiewicza. Sposób wykonania, pełne odczucie i plastyczne odzwierciedlenie duszy ludu, jego dążeń i celów, to dowód, jak gorliwie i poważnie spełniają Koła swoją ideę poznania i ukochania kraju.

Prawdziwą zdobyczą kulturalną dla nas było poznanie Teatru Narodowego. Wystawiono sztukę „Don Carlos“ Schillera, — z Malicką, Węgrzynem, Solskim i Osterwą. Wspaniała gra artystów, wyczucie psychiki bohaterów i świetne dekoracje sprawiły, że słuchałyśmy i patrzyłyśmy jak na rzeczywistość, czułyśmy razem z Węgrzynem jego wielkie marzenie wolności, pragnienie dobra i miłości bratniej ogółu. Taką grę, widzi się chyba tylko raz w życiu i raz przeżywa się sztukę na serjo.

Z tem wszystkiem Warszawa robi wrażenie iście europejskiego miasta, w którem zdobycze dzisiejszej techniki całkowicie pozostają na usługach jego mieszkańców. Stolica ma tempo; rytm, którym bije, tętni, i pulsuje, uwidacznia się najbardziej wieczorem, kiedy zachwyca, olśniewa, zdumiewa i odurza różnorodnością barw i reklam świetlnych. Wabią one przechodnia, pociągają swoją oryginalnością, zdają się nawoływać, przechwalać sobą, sprawiając, że ulice lśnią jak w bajce pałace dobrych duszek.

Poznanie duchowego i zewnętrznego życia Warszawy nasunęło mi pewne refleksje i myśli na temat zdefinjowania czy uplastycznienia symbolicznego stolicy. Powiedziałabym, że to pani, przyjmująca różne postaci: to jako piękna, wiośniana, subtelna, elegancka niewiasta XX w., królowa balów i dancingów, to znowu jako dostojna bogini i opiekunka nauk i sztuk, kierująca duchowem życiem stolicy. Dlatego Warszawa, która „oboje, dziewki i matrony wdzięki na jednem licu zespoliła cudnie“ robi wielkie wrażenie na każdym, kto czuje i myśli po polsku, zapisuje się złotemi zgłoskami w sercach ludzi ją zwiedzających.

To też Zjazd warszawski wywarł na nas wielkie i niezatarte wrażenie. Zlecieliśmy się tu z całej Polski my, młode orlęta, poznaliśmy się, a zespoleni tradycją i świętością starego grodu, umiłowałyśmy cały naród polski żywiej i goręcej. Tu poznaliśmy swoją wielką miłość Ojczyzny i uczuliśmy pewność, że jesteśmy silni, że stanowimy du-

chową siłę narodu, której nie przełamie najbardziej agresywna i perfidna polityka niemiecka i w poczuciu wielkiej miłości i dumy narodowej przeżyliśmy chwile tak wielkie, „jak nasi ojcowie niegdyś całe życie“.

ELEONORA SICIŃSKA (Gimn. SS. Urszulanek w Kościerzynie).

W sercu Kaszub.

Świt... cisza wokoło... Ziemia, spowita w srebrną zasłonę pajęczej mgły, śpi jeszcze. choć szare, nieuchwytne widma nocy po bezowocnej walce z białemi duchami świtającego dnia, znikły już, choć na niepokalanym błękicie nieba, hen... na dalekim horyzoncie z poza szmaragdowej, leśnej toni, w aureoli najcudniejszej symfonji barw — roztopionego złota i krwawej, królewskiej purpury wynurza się leniwie, oko dnia — słońce.

Wzeszło... objęło ciepłem, macierzyńskiem spojrzeniem wszechświat, rzuciło nań snop życiodajnych promieni, kokieteryjnie mrugnęło ku kochance swej — ziemi i... zatopiło się w błogich refleksjach nad swojemi dobrodziejstwami, wyświadczanemi od wiek wieków ludzkości. Jasny, promienny uśmiech nie schodził z oblicza boga — słońca, gdy patrzył na działanie swej potężnej, cudotwórczej siły, i gdy przyjmował hołdy wdzięczności od poddanek swych, szczególnie, od nadewszystko umiłowanej, ziemi. Ale to też i ona przez swoje przywiązanie i wierność zasługiwała na to wyróżnienie. Oto i teraz, uwolniwszy się ze słodkich, a tak zniewalających objęć Morfeusza z radością spieszy w ramiona stęsknionego kochanka. Najpierw zaszumiał bór..., a modlitewny jego hymn wzbił się hosanną do niebios bram. Potem skowronek — boży ptaszek, swobodnie szybując w błękitnym przestworzu, dołączył swój czysty, jasny głosik do poważnego i tajemniczego poszumu odwiecznych buków, kasztanów i klonów... Złote łany zbóż chyliły się w kornej podzięce, w nieśmiałem szemraniu wychwalając imię łaskawego dobroczyńcy swego. I oto, gdy cała natura śpiewała nieprzerwaną hosannę na cześć żywiciela swego, różany, majowy poranek w całej swej krasie i okazałości przechodził od chaty do dworu, budził pana i chłopa, siał wokół uśmiechy, zachęcał do życia, pełnego czaru, uroku i takiego piękna, że zdawało się, iż ten nieporównany w swoim rodzaju poranek jest jego usobieniem. Gdzie... idzie ten cudny królewicz z bajki od Karpat do Bałtyku w zamyśleniu wielkiem, aż... tu... nagle na zachodnich rubieżach Rzeczypospolitej, jakby z pod ziemi wyrasta twierdza, nosząca nazwę Zakładu N. M. P. Anielskiej SS. Urszulanek w Kościerzynie.

I o dziwo! — na ten niezwykły widok poranek przyspieszył kroku i, nie licząc się z konwenansami światowemi, bez ceremonji wtargnął na sypialnię, gdzie, pogrążone w głębokim, młodzieńczym śnie, spoczywały nadobne pensjonarki. Wiosenny, słodki poranek, dufając sile uroku swego, nie przypuszczał, że znajdą się jeszcze, nieczułe na jego piękno, istoty, które będą przenosiły objęcia Morfeusza, nad cudne krajobrazy, budzącego się dnia. Zadraśnięty w swej dumie, a jednocześnie zazdrosny

o rywala, postanowił w walce ze snem wyjść zwycięzcą. Muskając więc, błogo uśpione, twarzyczki pensjonarek wilgotnym pocałunkiem wiosny, budził je, przemocą wydzierał z objęć innego, zniewalał dla siebie... Jeszcze chwila obrony przed natrętnie pełzającemi promieniami i... kilkanaście par modrych, turkusowych oczął wyjrzało z poza źrenić na świat szeroki... daleki... piękny... „Co za cudowna pogoda — wstawajmy. Niebo bez skazy — to 50% dobrze udanej wycieczki. Szybko, no! na wyścigi! Nie ociągaj się ty suśle, mazgaju jakiś! Przecież dziś wycieczka, przecież za kilka godzin będziemy się kołysały na modrych falach jeziora Ostrzyckiego“ — krzyczy i klaszcze w ręce przebiegła



Jezioro Garczyńskie z półwyspem Djabelskim. (Nad tem jeziorem obóz przysposobienia wojskowego).

Wiśka, która wiedziała w jaką strunę należy uderzyć. Na wzmiankę bowiem o łódkach, jakby na apel zerwały się wszystkie śpiochy i w zimnej wodzie spędziły ostatecznie sen z oczu. W godzinę potem w białych, marynarskich bluzkach, z odznakami kółka krajoznawczego, z plecakami w ręku stałyśmy w karnych szeregach przed koszami, pełnemi smacznych wiktuałów. Powonienie nasze mile łechtał, unoszący się zapach świeżego, swojskiego chleba, pieczonego mięsiwa i słodkich „szneków“. Z niecierpliwością oczekiwała każda z nas swojej kolejki.

Po spełnieniu tych prozaicznynh przygotowań względem pana „żołądkiewicza“ — skrzypnął zamek, brzęknął łańcuch, bramy Zakładu rozwarły się i stęsknione pensjonarki, jak ptaki, długo trzymane na uwięzi, wyfrunęły, by zkolei poczynić przygotowania dla duszy, która,

obcując z przyrodą, odwiecznem pięknem i prawdą, potrafi się wznieść do szczytnych i górnych celów — do celów, jakie zakreślił jej Pan.

Lecz oto i stacja. Z oddali dochodzi do nas miarowe uderzenia kół o szyny, zbliżającego się pociągu. Za chwilę sapiąca lokomotywa wchłaniała w swój przepastny, ziejący ogniem, gardziel olbrzymie bryły czarnego djamentu. Wsiadamy... gwar, rwetes, wzajemne nawoływania się przerywa krótki, przeraźliwy gwizdek... Ruszamy... Jeszcze jedno ślemy spojrzenie w stronę Kościerzyny, jedno nieodgadnione westchnienie i szalona maszyna unosi nas w bezkreśną dal... Mkniemy... Przed wzrokiem naszym przesuwają się sielskie krajobrazy kaszubskich wsi — krajobrazy piękne i niezrównane w swej subtelnej prostocie, żywości i różnorodności. Z radosną, żywą krajoznawczą piosenką na ustach „Kto chce żyć wesoło“... mijamy Skorzewo, zbliżając się coraz bardziej i bardziej do cyklu jezior Szwajcarji kaszubskiej. I oto, zaledwie przebrzmiały ostatnie tony beztroskiej pieśni, gdy uczułyśmy podmuch chłodnego, przyjemnego wietrzyku z nad sino-błękitnej, spokojnej tafli jeziora Dąbrowskiego, które na horyzoncie zdawało się zlewać z kopułą niebios. Jezioro to poza dziwnym, tajemniczym, nieodgadnionym urokiem, charakterystycznym dla jezior, rzek, mórz, oceanów nie wyróżniało się niczem szczególnie. Łagodny brzeg, porosły gdzie niegdzie samotnie stojącemi drzewami był nawet trochę melancholijny w swej jednostajności, tembardziej, że ciągnął się na przestrzeni trzech kilometrów.

Niedługo jednak wzrok nasz błądził po sinych falach jeziora Dąbrowskiego, nieubłagana bowiem maszyna pędziła stale z tą samą szaloną szybkością, jakgdyby chciała w najkrótszym czasie dotrzeć do celu i pozbyć się swoich krzykliwych pasażerów. Zostawiliśmy więc poza sobą jezioro Dąbrowskie, przenosząc wzrok na zarysowujące się w oddali kontury wsi Gołubie. Jej malownicze położenie na przesmyku między dwoma jeziorami nasunęło przypuszczenie, że takie usytuowanie wsi łączy w sobie „piękno z pożytecznem“. Piękno, bo i cóż może brakować artyście-malarzowi w tem tak cudnym zakątku ziemi, gdzie błękit nieba zlewa się z ciemnym szafirem wód, gdzie modlitewny poszum lasów płynie w jaknajzgodniejszej harmonji z poszumem jesiennych fal, gdzie kwieciste łąki ścielą się do stóp gór—pagórków, gdzie wreszcie z fujarki pastuszka, strzegącego stada owieczek, płynię smętna, przepojona tęsknotą za czemś nieznanem... dalekiem... dumka. Że zaś położenie takie jest niewątpliwie korzystne mówi nam o tem geneza powstania wioski. W historji osiedleńczej niewątpliwie ważną rolę odegrało — rybołóstwo, zajęcie, które przy znikomych wysiłkach przynosi znaczne dochody. Nic więc dziwnego, że było ono magnesem, przyciągającym ludność. Przytem komunikacja wodna, jako najtańsza i najdogodniejsza dla gburów kaszubskich, sprzyjała w niemniejszym stopniu pomyślnemu rozwojowi wsi. Pożegnajmy jednak Gołubie, gdyż okolice, przez które mknie nasz pociąg, są ciekawe i zasługują na większą uwagę ze względu na to, że właśnie od Gołubia rozciągają się typowe dla Szwajcarji kaszubskiej piękne, swoiste krajobrazy. Zresztą po co te słowa zachęty — niema natura tak wymownie prosi, by na nią patrzeć i ją tylko podziwiać, że nawet człowiek najbardziej nieczuły na jej piękno — ulega sile uroku i zdaje się pochłaniać w siebie czarowne jej wdzięki, które z królewską

hojnością rozsiewa wokół. Tam... po lewej stronie rozciąga się na przestrzeni trzech kilometrów długie a wązkie, malownicze, piękne jezioro Patulskie. Jego ciemno-granatowe wody, obramowane złoto-piaszczystym łańcuchem pagórków, porosłych sosną, brzeziną lub bukiem, łączą w sobie prostotę z najwyszukańczą oryginalnością. Takiemi jeziorami może się poszczycić tylko i jedynie Szwajcarja kaszubska. To też nic dziwnego, że zmuszone siłą piekielnej maszyny do rozstania się z tą cudną wstęgą jeziora Patulskiego, serdecznie zasępiłyśmy się. Nadzieja jednak prędkiego ujrzenia jeziora Ostryckiego – perły Szwajcarji kaszubskiej koiła nasz smutek. W istocie za parę minut pociąg nasz przybił do celu, pozbywając się w Krzesznie słokiego ciężaru rozbrykanych, swawolnych kózek.

Wysiadłyśmy... przed nami roztaczał się misterny, czarodziejski, jakby z baśni wysnuty widok — to też mimo nawoływań, mimo bezustannego „prędzej, prędzej" upłynęła długa chwila, zanim ochłonęłyśmy z pierwszego a tak silnego wrażenia i zdecydowałyśmy się ruszyć dalej, Już z okna wagonu spostrzegłyśmy, że wieś Krzeszna leży na najbardziej malowniczym przesmyku między jeziorem Patulskiem a Ostrzyckiem. To nowe, minimalne odkrycie było dla nas prawdziwą satysfakcją utwierdziło bowiem nas w przekonaniu o trafności naszego przypuszczenia co do genezy wsi pojezierza kaszubskiego. No, ale znowu odbiegam od zakreślonego tematu, proszę jednak te wszystkie maleńkie dygresje położyć na karb mojej gadatliwości, ja ze swej strony postaram się poprawić. A zatem... Pragnąc bliżej zapoznać się z jeziorem Ostrzyckiem posuwamy się wzdłuż jego malowniczego brzegu. Krajobrazy, cieszące oko widza niezrównaną plastyką, harmonją barw, przemiły świergot mieszkańców leśnych, tęskny, a tajemniczy śpiew gaju bukowego — wszystko to na jakąś sentymentalną nutę nastraja wnętrze nasze, a jednocześnie tak dalece uprzyjemnia drogę, że się nie zdaje sobie sprawy z odległości, jaką się przeszło. Przecież kilka chwil upłynęło zaledwie od opuszczenia stacji, a oto już stoimy nad uroczą zatoką jeziora, podziwiając, roztaczający się stąd, piękny widok. W dole majorowemi akordami szemrze melancholijnie, niespokojne jezioro, którego fale, rozkołysane podmuchem wiatru, jeżą wysokie, białe grzywy z piany, dwoją, troją, dzisiątkują swoje siły, uderzają na ląd, chcąc wyrwać mu kawał ciała i zaprzepaścić w swoich głębinach... Niestety!.. Czujny nieprzyjaciel zwycięsko odpiera atak zdradzieckiego żywiołu, dumnie spoglądając na kapitulację napastliwych fal, które, upokorzone, odbijają od brzegu, by za chwilę wrócić i poraz setny spróbować szczęścia. Z góry na tę bezsilną walkę żywiołów z niewzruszonym spokojem i świętą obojętnością przyglądają się mocarze leśni: dęby, buki i klony. Dosyć jednak tych refleksji na temat walk w naturze, zapomnijmy o nich, niech zginą, przepadną w morzu tylu innych, stokroć gorszych walk między ludźmi. Przenieśmy lepiej nasz wzrok z nad burzliwej toni jeziora na otaczający go szpaler ciemnozielonych, sosnowych drzew, wśród których niby jasny płomień od czasu do czasu ukazuje się smukła sylwetka naszej polskiej powabnej brzeziny, o której tak pięknie pisze nasz wieszcz Adam Mickiewicz:

»... nasza poczciwa brzezina,
Która jako wieśniaczka, kiedy płacze syna,
Lub wdowa męża, ręce załamie roztoczy
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy,
Niema z żalu, postawą jak wymownie szlocha«.

Nie samą jednak poezją żyje człowiek, wzmagający się coraz bardziej głód przypomniał nam, że jak dotychczas — jesteśmy jeszcze na ziemi, i to zwykłymi śmiertelnikami, którzy nie zadowalniają się nektarem przyrody, jak bogowie olimpijscy, lecz pragną czegoś realnego. Aby więc czemprędzej zaspokoić napastliwe wołania pana „żołądkiewicza", opuściliśmy cudną zatokę, udając się cienistą aleją wzdłuż przepięknej panoramy do wsi Ostrzyce, przytykającej częściowo do jeziora, które w tem miejscu tworzy wdzięczny łuk. Drugim obok jeziora czynnikiem, przeobrażającym tę skromną wioskę „w kraj miodem i mlekiem płynący" jest zygzakowata wstęga Raduni, nad której zdrojami położona jest wieś Ostrzyce. Właśnie przedostając się na drugi brzeg Raduni wąskim, drewnianym mostkiem, zwanym powszechnie „ławą", spotkałyśmy sędziwego sturuszka o patrjarchalnej, siwiuteńkiej brodzie, mądrem, jasnem, dobrodusznem wejrzeniu, w łachmanach i boso, idącego prawdopodobnie „gdzie go oczy poniosą". Kto nigdy nie widział prawdziwego Kaszuba, ale znał jego karty historji, niewesołą przeszłość pod okupacją niemiecką, niewątpliwie już na pierwsze wejrzenie rozpoznałby w tym starcu — Kaszuba. Chciałyśmy szlachetną sylwetkę tego staruszka uwiecznić, przekazać potomności i w tym celu sfotografować go, lecz poczciwiec tak się oburzył na wzmiankę o „grafowaniu", że znikł i nie pokazał się już więcej. Tak więc nasze dobre chęci, jak to zwykle bywa, spełzły na niczem. A pan głód znowu się przypomniał. Przyśpieszyłyśmy zatem kroku tak, że w trzy pacierze stanęłyśmy na progu gościnnej „jadłodajni", gdzie z wilczym apetytem pochłaniałyśmy zawartość naszych plecaków.

Z zapasem nowych sił, z młodzieńczą werwą i wiarą w siebie, z próżnemi plecakami, wyruszyłyśmy w dalszą drogę. Idziemy wąską ścieżką na Jastrzębią Górę. Już w oddali dostrzegamy na jej szczycie kilka krzaków i potężne głazy narzutowe, między któremi jeden szczególnie wyróżniał się swoją wielkością. To „kamień królewski" tak nazwany na pamiątkę pobytu Fryderyka Wilhelma IV. Ale oto jesteśmy u celu. Z wzniesienia 227 m nad poziomem morza obejmujemy okiem wybitnie górski krajobraz. Jezioro Ostryckie, obfitujące w urocze, cieniste zakątki, urozmaicone szeregiem wysp, porosłych krzewami, sitowiem, tatarakiem — to centrum, do którego przytykają inne jeziora, o brzegach niemniej wysokich, pokrytych po największej części bukowemi borami. W południowej stronie widnieje niesamowicie piękny szczyt Wieżycy, a w dali czerwienią się dachy Ostrzyc. Nie silę się bynajmniej uplastycznić tego, co widziałam, bo tam, gdzie majestat gór walczy o lepsze z tajemniczością sinych odmętów wód, tam nawet genjusz ludzki wydaje się karłem, a przeciętny sobie śmiertelnik, jak ja, składa broń. Wypocząwszy należycie, zeszliśmy znowu nad jezioro Ostrzyckie, które w kilka minut potem kołysało nas na wzburzonych swoich falach, uspakajało, nastrajając na jakąś błogą, chociaż smętną

nutę. Przejażdżka taka o zachodzie słońca ma w sobie nieopisany urok. Pod nami czarna, niesamowicie czarna głębia, wokół lasy, nad nami gasnące słońce, niby genjusz sztuki malarskiej, pociąga pędzlem Bożym po sinych obłokach. Obok smugi różanej, która rozlewając się, zmienia kształty, obejmuje coraz szersze przestrzenie niebios, płynie seledyn, który od fjoletu oddziela wstęga z lamy złotej, a wszystko to lśni światłem nadprzyrodzonem. Wreszcie mistrz, kończąc arcydzieło kunsztu malarskiego, przykrywa róż purpurą, sam gaśnie, a i dzieło jego zaczyna wkrótce blednąć.

Zmierzch już zapadł, gdy udałyśmy się na Wieżycę. Dużo trudu i mozołu kosztowało nas wdrapanie na tę górę o wysokości 331 m nad poziomem morza. Gnała nas jednak ciekawość ujrzenia w perspektywie tego wszystkiego, na cośmy dotąd zbliska patrzały. Niestety!.. Nasze oczekiwania zawiodła Wieżyca. Nasze nadzieje pokrzyżowała mgła, czepiająca się trupiemi dłońmi gałęzi drzew, pnąca się w górę do szczytów, otulająca las w mglisty, srebrny czar baśni... Tak więc poza fantastycznemi widziadłami — nie widziałyśmy nic ciekawego. Co potem? Potem zeszłyśmy z Wieżycy, udając się na dworzec, a stąd tym samym pociągiem, którym przyjechałyśmy, pomknęłyśmy ku Zakładowi. Różnica była tylko wewnątrz nas. Reasumując bowiem to, co się widziało, odtwarzając w duszy może po raz setny te cuda i dziwy przebogatej matki-natury, poczułyśmy najwyżej wdzięczność ku Stwórcy tych rzeczy i taką miłością zapałałyśmy ku Niemu, o jakiej pisze obcy poeta:

»I wówczas mi się wydaje,
O dumo, idąca z Boga,
Że miłość moja tak wielka
Jak w krąg ta ziemia droga«.

KOŁO KRAJOZN. GIMN. SS. URSZULANEK w Lublinie.

Pieczenie korowaju

w folwarku Bortatycze, gm. Wysokie, pow. Zamość, woj. Lubelskie.

Korowaj czyli placek weselny piecze się zawsze w wilję ślubu. Przeważnie w sobotę. — Panna młoda zaprasza rano do pieczenia: starszą druchnę, jej matkę, druchny oraz „swaszkę“ to znaczy matkę pana młodego, oprócz tego „swaciów“, wszystkie druchny, starsze kobiety i gospodarzy, względnie fornali starszych (gdy w folwarku wesele) — jako gości.

Wieczorem wszyscy zaproszeni zbierają się u panny młodej. Goście siadają pod ścianami, a starsza druchna, swaszka, staje w środku przy stole, na którym są już przygotowane: dzieża, mąka i stolnica. Starsza druchna zagniata ciasto, podobnie jak na kluski, z mąki pszennej. Przez ten czas inne druchny przygotowują welon dla panny młodej, śpiewając lub rozmawiając (pieśń podana w końcu). Podczas zagniatania ciasta, swaszka i druchna wylepiają z ciasta całe gospodarstwo, które następnie umieszczają na gotowym już placku w formie.

Zdarza się często, że i pan młody piecze korowaj. W ten sam spo-

sób to się odbywa z tą różnicą, że korowaj pana młodego jest otoczony „rzemieniakiem", a placek panny młodej warkoczem czyli t. zw. „kosą". Przy wkładaniu korowaju do pieca kobiety śpiewają specjalną piosenkę. Zwykle starsza druchna (powinna być sprytna) układa naprędce krótkie piosenki i śpiewa, a goście jej wtórują. Gdy korowaj piecze się w piecu chlebowym, starsza druchna zmywa sprzęty słomianą miotłą i przy tej sposobności jest zwyczaj, że myje zebrane dziewczęta i chłopców. Ci pośród śmiechów, żartów i krzyków uciekają.

W niedzielę po ślubie, młode małżeństwo przychodzi do dworu, aby się państwu „pokłonić". Towarzyszy im muzyka, druchny, drużbowie i goście. Na wstępie państwo młodzi ofiarują korowaj, który czasami bywa „umajony" zielem. Jeśli wesele odbywa się na wsi, młoda para ofiaruje wówczas korowaj rodzicom.

W okolicznych wsiach nie znają podobnego „korowaju" z ozdobą wysoką z ciasta, jak to widzimy na naszym. Oryginalnej natomiast wielkości znajduje się w zbiorach krajoznawczych Gimnazjum SS. Urszulanek w Lublinie. Dar St. Lipczyńskiej, sekretarki Koła Krajozn., uczenicy VII. kl. gimn.

Piosenka śpiewana w sobotę wieczór, kiedy to starsza druchna zagniata korowaj, a druchny przygotowują welon panny młodej, one to śpiewają:

W komóreczce, na półeczce tej małej
Rozpuściła, rozczesała kędziory,
Rozpuściła, rozczesała po sobie
Nie dajże mnie, moja mamo od siebie.
Łado, Łado, Łado od siebie.

Jakżeż moja córuś nie mam dać
Łado, Łado, Łado dać
Najechali dobre ludzie, chcą cie brać
Łado, Łado, Łado chcą cię brać.

Piosenki śpiewane na weselu, na wsi Bortatycze, tam skąd „korowaj" są następujące:

W SOBOTĘ.

Posła do ogroda śliczna, piękna jak jagoda
Z zilejkiem się rozmawiała, z czego uwić miała
Uwiła go z białej róży, służ mi wianku jak najdłużej
Od niedzieli do nieniedzieli, aż się zjadą przyjaciele.
Jak się zjadą przyjaciele, cóż oni uradzą
Za kogóż mnie oni wydadzą, za jednego, za Jasieńka, młodziuśnego.
I uwili też z leliji, bo się za mną chłopcy bili
Co się bili, już nie będą, bo popłynął z bystrą wodą.

DO ŚLUBU.

Ziele moje, ziele, nie siałam cię wiele
Cztery ogródeczki na jedno wesele.
Ziele moje, ziele, mój rozmarynie
Już cię ostatni raz swoją rączką łamię.

DO ŚLUBU.

W niedzielę raniusieńko — słoneczko wschodzi
Młoda Maniusia swego tatusia za stół prowadzi
I zawadziwszy, posadziwszy swego tatusia, prosi:
O mój tatusiu, o mój rodzony, pobłogosław-że mnie.
Maniusiu moja, dziecino moja
Niech cię Bóg błogosławi ze wszystkiemi świętemi Aniołami Bożemi.

DO ŚLUBU.

Oj rzędem, oj rzędem, rzędami pomiędzy dwoma stołami
Tam mnie mamusiu posadźcie, tam mnie rodzona posadźcie
Niech ja się popatrzę, a napatrzywszy napłaczę
Jak te różenki na niebie, tak ja mamusiu na ciebie.

DO UCZEPIN.

Żebyś ty chmielu na tyczki nie laz
Tobyś nie robił z panienek niewiast
Hop chmielu, hop nieboże, niech ci Pan Bóg dopomoże.
Chmielu nieboże, wy tatusiu nie żałujcie na czepeczek
Podarujcie, trzeba jej dać na bursztyny, żeby miała
Ładne syny, trzeba jej nie żałować na czepeczek
Podarować, trzeba jej dać na paciorki, żeby miała ładne córki
Trzeba jej dać, nie żałować na czepeczek
Podarować, trzeba jej dać na wrzeciono
Żeby była dobro żono, trzeba jej dać
Nie żałować, na czepeczek podarować,
Trzeba jej dać na sitko
Żeby miała wszystko,
Trzeba jej dać, nie żałować, na czepeczek podarować.

ELEONORA SICIŃSKA, (Gimn. SS. Urszulanek w Kościerzynie).

Wieczór pieśni i tańców ludowych

urządzony przez Koło Krajozn. im. ks. Damrotha w Kościerzynie.

Nadszedł dzień 9-go lutego — dzień zakończenia ostatnich podrygów karnawałowych. Kaskady srebrzystego śmiechu rozbrzmiewały po całym Zakładzie. Wszak to dziś ostatki „Użyjmy więc żywota. Wszak żyjem tylko raz, niechaj ta czara złota nie próżno wabi nas“. I z młodych, pełnych entuzjazmu piersi pensjonarek wyrwała się i popłynęła dźwięcznym i silnym akordem: „Gaudeamus igitur iuvenes dum sumus“. Na przeplatance radosnych okrzyków z huraganami śmiechu pół dnia przeszło jak błogi sen o szczęściu. Nie spostrzegłyśmy, że słońce się skryło, że zapadł zmierzch i wybiła godzina piąta. Hałas i rwetes wzrósł nie do opisania. „Na salę, na salę — wołano — przecież dziś sławny tradycyjny wieczorek Kółka Krajoznawczego“. W chwilę potem cała ława pensjonarek wypełniła po brzegi salę. Wszczęte swary o miejsca przerwał dzwonek i uroczysta cisza wszechwładnie rozpostarła swoje pano-

wanie. Kurtyna powoli się podniosła i oczom naszym ukazała się drżąca i biała istotka... Za lekkiem dotknięciem klawiszów popłynęły akordy najsubtelniejszej muzyki, odbiły się echem o mury wspomnień „Babuni" i umarły... I tylko wszechwładny głos śpiewającej rozbrzmiewał niewysłowioną nutą tęsknoty, żalem za minioną, słoneczną przeszłością, przenikał do najtajniejszych skrytek duszy ludzkiej, budził refleksje... Z ekstazy wyrwały słuchaczów dopiero dźwięki skocznego, dziarskiego mazura. Na scenę wpadło kilka tańczących par, ubranych w malownicze, staropolskie stroje i z piosnką na ustach: „Hej, z góry, z góry", z uśmiechem na twarzy rozpoczęły piękny, tradycyjny, polski mazur. Patrząc na te tany, ożywione ogniem werwy młodzieńczej, serce się rwało, nogi odmawiały posłuszeństwa, a oczy napatrzeć się nie mogły tej cudnej harmonji barw i figur coraz to innych, coraz to bardziej skom-



Wesoły zespół krakowianek otacza górala, który z wędrowną laską udaje się na niziny, śpiewając: „Za chlebem, panie, za chlebem".

plikowanych. Przebrzmiały tony mazura, zapadły się w ziemię tańczące pary... Na scenę wybiegły dwie filigramowe krakowianki, a za niemi krakowiacy „chłopcy jacy-tacy". Dziewczątka tańcząc, z kokieterją zwracały główki w stronę swoich partnerów i pyszniły się dźwiękiem korali. Chłopcy, obejmując ognistemi spojrzeniami smukłe sylwetki tancerek, wybijali hołupce w takt żywej i pięknej melodji góralskiej. Chwila — a i ten obraz niknie... Na widownię wpada, pyszny ze swych kierpców góral, a za nim w podskokach jego urocza siostra z gór, taka zwinna, taka hoża, tak bajecznie kolorowa, jak te prawdziwe góralki z naszych nieocenionych, malowniczych Tatr. Przymilną minką, a jeszcze wymownemi ruchami prosi tego z buńczucznie założonemi rękami górala o kierpce, śpiewając:

»Góralu od Żywca, pozyc-ze mi kierpca...«

Lecz on niewzruszony przekornie tupnął nogą, kapelusz bardziej po szelmowsku nałożył i zaśpiewał:

»Ja ci nie pozycę — ja sam w nich tańcuję...«

Nie pogniewała się góraleczka tą szorstką odmową i jednym ze swych najsłodszych uśmiechów zaprosiła nieużytecznego górala do tańca. Chór nucił murmurando, górale tańczyli, widzowie zdawali się oczyma pochłaniać nadobną i dobraną parę, a kurtyna powoli opadała... Nastąpiła przerwa dziesięciominutowa, w czasie której niepoprawne pensjonarki, żywo gestykulując, opowiadały sobie wzajemnie wrażenia ze „spektaklu", oprawiały uwagi swoje w ramki humorystyczno-satyryczne i wybuchały paroksyzmami śmiechu. Srebrny głos dzwonka położył kres wszelakiemu „paplaniu". Za sceną dały się słyszeć jakieś przeraźliwe nieludzkie wprost głosy, tupoty nóg, uderzenia kijów... Na twarzach pensjonarek odbiła się raptowna zmiana w usposobieniu. Z oczu, w których dotąd żarzyły się chochliki śmiechu i przekory, teraz wygląda blady strach i ogromne zdziwienie, zachwyt... Tymczasem górale i góralki —



Pierwsza wystawa prac i zbiorów Kółka Krajoznawczego im. ks. Damrotha w Kościerzynie. — Zakład N. M. P. Anielskiej.

prowokatorzy niemego przerażenia, ukazali się na scenie i rozpoczęli niesamowicie groźny, zbójecki taniec. Muzyki nie było, bo i skąd u zbójów? Im wystarczyły ich własne głosy — ich cudaczny marsz.

»Hej, idem w las, piórko mi się migoce.
Hej, idem w las, dudni ziemia ka kroce,
Ka wywinem ciupazeckom, krew cerwoną wytocę,
Ka obyrtnem siekiereckom, krew mi z pod nóg bulgoce«.

Chwila, a i ten obraz niknie... Na widownię wpadają coraz to inne pary, uderzając widza bajeczną kolorystyką swoich ubiorów i wyszukaną pomysłowością figur. Chór śpiewający „Bajkę" nadał wieczorowi temu charakter sielsko-anielski. Niczem jednak były wszystkie te punkty w porównaniu z uscenizowaną bajką M. Konopnickiej „Gąski Marysi". Obrazy, pełne niezrównanej plastyki, kolorystyki i poezji, były arcydziełem kunsztu malarskiego. Niezatarte piękno pozostawił w duszy widza pełen niesamowitej zabobonności, tajemniczy obraz liljowego

zmierzchu, którego ciszę mącił miękki, aksamitny głos krasnoludka-gawędziarza. Tlące się w środku polany leśnej ognisko, rzucając snop krwawo-purpurowych promieni na główki zasłuchanych dzieci, uzupełniało nieziemsko-majestatyczny charakter obrazu. Niestety! wszystko, co wzniosłe i piękne, trwa krótko. Zaledwie dusze nasze wzbiły się na niebotyczne wyżyny, zaledwie dotknęły puharu słodyczy świata poezji — srebrny głos dzwonka rozległ się na sali, oznajmiając konieczność powrotu do szarego świata realizmu. Ta błoga chwila jednak, w której uczułyśmy się lepszemi, ożywczo oddziałała na nasz umysł i serca. To też z uczuciami najwyższej wdzięczności ku naszej pani opiekunce z samozaparciem pracującej nad rozszerzeniem naszego horyzontu umysłowego, opuszczałyśmy salę.

Smutne refleksje powystawowe.

Rada Główna P. T. K. otrzymała po zlikwidowaniu wystawy Kół Krajoznawczych Młodzieży i po odesłaniu właścicielom Ich eksponatów, szereg skarg na fatalny stan tych ostatnich, zniszczenie szeregu prac, oraz dość duże braki. Jako organizatorka jubileuszu P. T. K., oraz Zjazdu Kół Krajoznawczych, czuje się odpowiedzialną za ten stan rzeczy i z rozgoryczeniem wielkiem stwierdzić musi, że główna przyczyna leży w niekulturalnem zachowaniu się samych zwiedzających, z których 99% stanowiła kształcąca się młodzież.

Już w czasie wystawy kilkakrotnie udało nam się stwierdzić, że grupy szkolne, zwiedzające wystawę, odnosiły się do eksponatów tak karygodnie, że dyżurni opiekunowie wystawy musieli ostro interwenjować. Przy tak dużej ilości eksponatów i rozrzuceniu ich w 7 salach na stolikach, oknach, kominkach i ekranach, wręcz niemożliwem było upilnowanie wszystkiego, tem więcej, że z przykrością stwierdzamy, nie mogliśmy zebrać odpowiednio dużej ilości osób dyżurujących. Pociągało to za sobą brak ścisłego dozoru, z którego korzystały czynniki niekulturalne, stanowiące, jeśli przyjąć pod uwagę ilość nadesłanych skarg, spory odłam wśród młodzieży.

Zdajemy sobie sprawę, że żadne słowa ubolewania ze strony Rady Głównej nie wrócą poszkodowanym zniszczonych prac, wykonanych nieraz przy dużym nakładzie wysiłku i entuzjazmu, pragniemy jednak, by wszyscy, czytając powyższe słowa, piętnujące złe instynkty części młodzieży, z jednej strony mieli nas za wytłomaczonych, z drugiej — zsolidaryzowali się z nami i na swoim gruncie niszczyli bezwzględnie najmniejszy objaw podobnego defetyzmu.

Cena zeszytu pojedynczego (16-24 str.) z przesyłką pocztową 50 gr., zeszytu podwójnego (32-40 str.) 1·— zł., bez przesyłki 45 gr. wzgl. 90 gr. Przedpłata roczna 5·— zł.

Poszczególne numery można nabywać w Krakowie w księgarni Gebethnera i Spki.

Cena ogłoszeń: cała strona 50·— zł., pół strony 30·— zł., ćwierć strony 16·— zł.

Wszelkie przesyłki pieniężne, zwroty niesprzedanych egzemplarzy, należy skierować pod adresem: Księgarnia „Orbis", Kraków-Dębniki, Barska 41. Najdogodniej jest wysyłać pieniądze czekiem P. K. O. na konto 409.870. Na odpowiedzi załączyć znaczek pocztowy.

Redaktor naczel. i odpowiedz.: Leopold Węgrzynowicz, Kraków, Oleandry 5, II. p. Administracja: Kraków-Dębniki, Księgarnia „Orbis".

Odbito w Tłoczni Geograficznej „Orbis", Kraków-Dębniki, ul. Barska L. 41, pod zarządem Pawła Czuja.